

Ucieczka

Pierwsze próby

Był już rok 1942. Trzeci rok niewoli. Coraz częściej milknął któryś z naszych kolegów podczas zajadłych dyskusji i coraz trudniej było usnąć. Do izby chorych zaczęto skierowywać obłąkanych. W połowie stycznia młody podporucznik w południe przelaż przez druty i bez płaszcza, w ogniu broni maszynowej - uciekł. Oceniliśmy smutno: desperat szukający śmierci lub mający „bzika”. Zdecydowaliśmy się i my na uciezkę, ale rozsądniejszą. Sprawa nie była łatwa. Obóz pilnowany był przez specjalny niemiecki batalion wartowniczy. Działała również specjalna grupa kontrolna Abwehry¹, mająca za zadanie baczny obserwację jeńców. Wewnątrz obozu krążyły patrole oficerskie i podoficerskie z tresowanymi psami. Ponadto organizowano przy pomocy konfidentów wywiad wewnętrzny. Nietrudno było Niemcom przy normalnych przerzutach jeńców z obozu do obozu podrzucić nam „szpiclów”. Jak się okaże, trudniej tylko było uchronić ich przed zdemaskowaniem. Ostatnią czy może pierwszą linią zamykającą drogę do wolności były druty i wieże strażnicze z wycelowanymi na nas lufami.

Jeszcze w połowie roku 1940, właściwie w przeddzień przygotowywanej przeze mnie i kolegę uciezki (zamierzaliśmy wykorzystać rów i wykopać podkop pod druty), dwóch oficerów brawurowo przedarło się do lasu, pomimo otwartego do nich ognia. Inni koledzy w lipcu 1941 roku umknęli z Woldenberga, ukrywając się w podwójnym dnie wozu z ziemniakami. Niemcy wywieźli ich sami poza druty jako obierzyny. Uciekinierzy dotarli aż do polskiej ziemi, tam jednak zostali schwytani. O ucieczce marzył każdy z nas. Od początku niewoli tęsknym wzrokiem wybiegałem poza druty i wieże strażnicze. Wierzyłem, że bez względu na niepowodzenie towarzyszy niedoli druty mnie nie zatrzymają.

Przygotowywałem wspólnie z różnymi grupami przyjaciół i kolegów cztery uciezki, z których pierwsza zakończyła się sprowadzeniem nas z powrotem do Woldenberga aż spod naszego Dziębowa; w dwóch następnych zmuszeni byliśmy do zaniechania planów, pomimo dużego wkładu pracy w drążenie podkopów pod drutami; sukcesem pełnym zakończyła się dopiero ucieczka ostatnia. Po kolei też o nich opowiem.

Wiosną 1940 roku uważnie i dokładnie obserwowałem życie obozowe, związany decyzją uciezki z porucznikiem Janem Wojciechowskim. Szczególnie interesowały nas wszystkie formy „czulej opieki” Niemców. Plan opierał się na wykorzystaniu słabości i niedopatrzeń niemieckich. Obserwacja prowadzona była dniami i nocą. Spośród wszystkich wariantów uwolnienia się najlepszy wydawał nam się plan uciezki poprzez przecięte druty. Zdobyliśmy nożyce, szcypce do cięcia drutu, przeprowadziliśmy udane próby.

Niespodziewanie partner mój zachorował. W ostatniej chwili przyłączył się do mnie porucznik Julian Głuszek. Dzień uciezki ustaliliśmy na 17 sierpnia 1940 roku. Dużo kłopotu sprawiło nam zdobycie ubrań cywilnych. Efektem starań był kombinezon sportowy kolegi i mój kożuszek. Wyznaczonego dnia, z niewielkim zapasem żywności w plecakach, czekaliśmy na właściwy moment. Wyjście z obozu ułatwiła nam tzw. grupa sportowa. Wdzięcznie

¹ Abwehra - hitlerowski kontrwywiad wojskowy.

wykonywane ćwiczenia grupowe ściągnęły uwagę niemieckich wartowników. Mieliśmy pod płaszczami, zakrywającymi ubiory cywilne, przygotowane na sznurkach kępy trawy, które miały nas maskować podczas późniejszego pełzania w kartofliskach.

Porucznik Głuszek, wmieszany w tłumek obserwatorów popisów sportowych, czekał na przecięcie przeze mnie drutów. Przepęłnawszy niepostrzeżenie, ciągnąc plecak i kożuszek poza sobą, dobieram się do otwierania sobie okna na wolność. Długo trwało wycinanie otworu i przecinanie zwojów.



Drzeworyt, M.Saszyk 1943

Brak rękawic. Kiepskie i tępe narzędzia, odwykłe od pracy ręce... W czasie gdy porucznik Głuszek podążał ku mnie, otrzymaliśmy wiadomość o zbliżaniu się patrolu. Przyspieszam przecinanie drutów, abyśmy mogli przed zaskoczeniem być już po drugiej stronie. Nie zdążę już przeciąć drut chwytam gołymi rękami, rozsuwając zwoje z całej mocy. Ręce krwawią. Razem z sygnałem trąbki zapowiadającej godzinę policyjną nadchodzi kilkuosobowy patrol. Dyszemy z drugiej strony drutów, głęboko wciśnięci ciałami w ziemię. Metr po metrze pełzniemy przez otwartą przestrzeń ku miedzy. Wreszcie dosiegamy kartofliśka.

Patrol przechodzi obok wyciętego w drutach otworu, niczego nie spostrzegając. Aż do nastania ciemności leżeliśmy bezwładnie, utrudzeni ponad miarę. Ruszyliśmy w stronę widniejącego lasu. Ślady przysypywaliśmy tartym tytoniem, aby uniemożliwić pościg psów. Często oglądaliśmy się na obóz. W lesie, którego skrajem maszerujemy, wita nas deszcz. Iść coraz ciężiej. Nad ranem ukryliśmy się w dużym krzaku jałowca. Śpimy na zmianę. Nie możemy rozgrzać zziębniętych i zmęczonych ciał. O zmroku idziemy dalej. Zbliżyliśmy się do bagien nadnoteckich. Musimy przeskakiwać rowy i kanały. W nocy mijamy rzekę Drawę. Rzeka rozlała, nie było mowy o tym, żeby ją przebyć inaczej niż w pław. Mnie chroni kożuszek od chłodu nocnego po zimnej przymusowej kąpieli, porucznik Głuszek drży coraz mocniej. Dostaje dreszczy i widocznie ma temperaturę. Noc spędzamy pod drzewem, w największym gąszczu. Leje. Próbujemy zbudować z gałęzi dach, ale nic z tego nie wychodzi.

Śpimy znowu na zmianę, choć lodowate strużki wody spływają nam po plecach i karku. Marsz wieczorny również odbywa się podczas deszczu. W gęstym lesie rozpalamy ognisko. Zmoczona zapałka suszę na piersi. Gotujemy wodę w manierce. Gdy się rozwidniło, wznawiamy marszrutę. Wieczorem zatrzymujemy się w lesie i budujemy szałas. Właściwie buduję ja, bo towarzysz ucieczki jest chory, niewiele może pomóc. Dostaje torsji. Pomimo wszystko idziemy dalej, dalej. Las wysokopienny, bez poszycia.

Niespodziewanie zatrzymuje nas okrzyk: „Halt! Hände hoch!”². Niemiec z karabinem w ręku, gdy dowiedział się, że jesteśmy robotnikami polskimi, wymyśla nam ordynarnie. Wkrótce dołączył się do niego drugi Niemiec. Prowadzą nas uważnie. Mrugając na siebie z Głuszką decydujemy się na ucieczkę. Dla zmylenia Niemców szliśmy ciężko, zgarbieni, wyczerpani i chorzy. Zwalnialiśmy kroku, dyszeliśmy, sapaliśmy. Na skrzyżowaniu leśnej drogi z duchtą wydałem okrzyk: „Dęba!” Obydwaj, zygzakami jak sarny, rzuciliśmy się w bok, Niemcy po pierwszej chwili oniemiaenia chwycili za karabiny. Rozległy się strzały i nasze pożegnalne „błogosławieństwa”.

Dotarliśmy do ściany lasu. Nie mogłem zrozumieć, skąd Głuszek w gorączce, osłabiony, znalazł w sobie tyle siły i szybkości. Niemcy węszyli pewien czas, ale musieli zrezygnować. Po kilku godzinach ostrego marszu ukryliśmy się w dużym, samotnie stojącym stogu siana. Zniknęliśmy w jego pachnącym wnętrzu. Rozgrzewaliśmy się do wieczora. I znowu ruszyliśmy na przełaj polami, lasem i bagnami. Droga była ciężka. Bagna i rozlewiska szerokie. Pamiętam

² Stój! Ręce do góry!

chwile, gdy skok z pochyłej wierzby na przeciwległy brzeg pozwolił nam iść dalej. Deszcz ulewny nie ustaje. Głód dokucza. Podbieramy warzywa i owoce z mijanych pól i ogrodów. Przechodzimy kanały, śluzy i przepławiamy się przez Noteć, Głuszek idzie już boso. Zgubił w przepławie pantofle. Docieramy do zabudowań. Wchodzimy do izby niemieckiej. Przywitanie „robotników polskich, szukających noclegu” nie było ani uprzejme, ani miłe. „Zorganizowawszy” bochen chleba, uciekamy w kierunku rzeki. Żałowaliśmy, że zabrakło czasu na zabranie kury. Znowu całą dzień leżymy w kopie siana. Wieczorem marsz. Nazajutrz Głuszek nie był zdolny do kontynuowania wędrówki. Doszliśmy do miasteczka Ujście. Wybraliśmy maleńki, skromnie wyglądający domek. Kolega został pod ogrodowym płotem, ja wszedłem do sieni. Znowu gospodarzem okazał się Niemiec. Zrozpaczeni idziemy dalej. Zaczepiona przeze mnie dziewczyna, zapytana o godzinę, okazała na widok zmoczonych włóczęgów taki przestach, że w obawie pościgu wybiegliśmy na otwarte pole.

Głuszek ma czerwonkę. Pomagam mu, prawie go niosąc. Znowu ukrywamy się w staniu. Przynoszę wody do picia. O świcie widać już było, że iść dalej nie może. Nie mieliśmy wcale żywności. Wyszedłem starać się o żywność i pomoc dla chorego kolegi. Po drodze w krzakach golę się i myję, aby wyglądem swoim znowu kogoś nie przerazić. Ze spotkanym rybakiem zamieniłem kilka słów.

Blisko wsi Dziębowo wszczynam rozmowę ze spotkaną grupką chłopców - dzięki otrzymanym informacjom znów orientuję się w terenie. Dziębowo było zamieszkane przez Polaków. Skierowuje się na polską wieś. Młodego robotnika idącego z koszem grzybów proszę o sprzedanie żywności. Patrzył podejrzliwie i sam powiadomił mnie o jakichś uciekinierach z niewoli, którzy kilka dni temu przedzierałi się przez tę okolicę. Pokazał mi dowód z rubryką: narodowość polska. W odpowiedzi podałem mu legitymację oficerską.

Żywność, lekarstwa, z zachowaniem koniecznej ostrożności, w mig dowędrowały do Głuszka. Wzruszony byłem serdecznością rodaka. Po nakarmieniu i opatrzeniu chorego zdecydowaliśmy, że następnego dnia przeniesiemy porucznika Głuszka do wsi. Ciepło było w stogu. Czując się już dużo lepiej Głuszek czuwał ze mną na zmianę. Około 11.00 przed południem wyciągnął nas z kopy Niemiec. Wkrótce znaleźliśmy się na strażnicy. Zmuszeni byliśmy powiedzieć prawdę.

I cóż, tak skończyła się pierwsza ucieczka.

Przypominam sobie pewne zabawne wydarzenie, kiedy to pomimo powagi sytuacji zdołaliśmy jeszcze zakpić z Niemców. Już wkrótce po wtrąceniu nas do więzienia doznaliśmy przedsmaku represji. Głuszek, chory i ledwie włóczący nogami, nie mogąc dostosować się do komendy zbirów, został pobity i skopany. Zmitygowałem Niemców, grożąc napisaniem skargi. Zastanawiałem się, co wymyślić, aby zmienić ich stosunek do nas. Podczas badania w Komendzie bez zmruczenia powiek łgałem, podając, że jestem z zawodu... właścicielem ziemskim. Majątek mój wynosił tyle a tyle hektarów. Podałem wielkość jakiegoś księstwa niemieckiego.

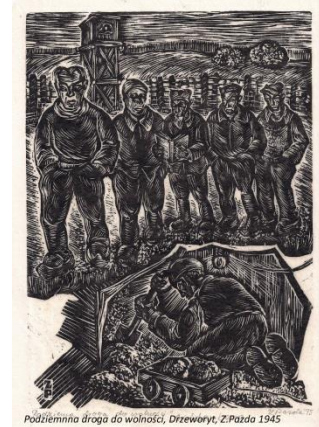
Nie zawiodłem się. Otrzymaliśmy najlepszą celę w więzieniu, łóżka z materacem i temu podobne luksusy. Słyszałem, jak Niemcowi, który potraktował mnie obcesowo, koledzy zwrócili uwagę na boku: „Kamerad... langsam, langsam... das ist.... Gutsbesitzer!”^{3*}. Niemiec odtąd mówił ze mną inaczej. Ale nawet zadrwienie ze słabości Niemców nie polepszyło naszych nastrojów przy powrocie do Woldenberga.

Długi czas, bo prawie rok trwało obmyślanie innego sposobu wydostania się na wolność. W lecie 1941 roku kilku kolegów, zdecydowanych na ucieczkę, zwróciło się do mnie

³ Kolego, wolnego, to jest właściciel ziemski!

z projektem wykonania podkopu wzdłuż rury kanalizacyjnej, wiodącej pod drutami na zewnątrz w kierunku ukrytego pola zarosłego fasolą. Zaczęliśmy obserwację, analizowaliśmy trudności, zachowanie się Niemców itd. Pomysł ten podobał się nam tym bardziej, że praca przy podkopie musiała być wykonywana wprost na oczach pilnujących wartowników.

Podkop miał zaczynać się od studzienki położonej blisko drutów, studzienka zaś odległa od granicy obozu o około 60 metrów w głąb miała służyć jako punkt władowywania wykopanej ziemi. Studzienki nakrywane były kocami, na których koledzy pozorowali grę w karty czy w szachy. Należało doprowadzić do perfekcji sam skok w głąb studni. Działo się to przecież na oczach wartowników. Do podkopu zdobyliśmy młoty i meisle. Podczas gdy pod ziemią, idąc wzdłuż rury kanalizacyjnej, waliło się młotami w beton czy wgrzyzało w ziemię, koledzy z górnej warty obserwowali reakcję Niemców i skutki uderzeń. Pracowaliśmy kolejno, z zapamiętaniem. Pot zalewał nam oczy. Pracowało się „na siłę”, bo brak było odpowiednich narzędzi...



Podziemna droga do wolności, Dzeworyt, 2. Październik 1945

Pomimo okaleczonych rąk z niechęcią oddawało się miejsce następcy. Ziemia gromadzona była w woreczki, które koledzy przyczepiali do wewnętrznej części płaszczów, rozrzucając później niepostrzeżenie ich zawartość po całym obozie. Ziemi było coraz więcej. Należało zorganizować jej podziemny przerzut. Majstrowie obozowi, niedościgli mistrzowie, wykonali miniaturowy wózek. Cud techniki. Układ osi dostosowany idealnie do jazdy w murze.

Pozostał drobiazg... opracowanie sposobu przesuwania wózka od studzienki do studzienki. Odległość... bagatela 70 metrów. Różnymi sposobami próbowaliśmy przeciągnąć przez rurę linę do przeciągania wózka. Jeden z podporuczników, rekordzista obozowy w rzucie kulą, raz po raz napinając potężne bicepsy i kreśląc wyprężoną nogą koła wypychał w ciemny otwór kulę z przymocowaną do niej liną. Mocną liną, bo skręconą z drutu kolczastego z usuniętymi zadziornymi. Lina w połowie odległości skręcała się i zaczarowana kula stawała w miejscu. Miotacz kłął, trąc pokaleczone ramiona.

Dziś mi się wydaje, że nawet rekordzista świata O'Brien nie dokonałby tej sztuki. Należało wymyślić coś innego. Wpadliśmy na pomysł usztywnienia biegu liny deseczkami. To dopiero okazało się właściwe. Wkrótce dwa sznury biegły między studzienkami i bezbłędnie pociągały wózek. Ściany wykopu należało umacniać. Do umocnienia trzeba było desek. Jedynymi deskami były deski urządzeń niemieckich, stołków jenieckich, a w końcu... prycz. Początkowo znikanie tej czy innej deski nie wzbudzało echa. Ale podkop rósł, desek potrzeba było coraz więcej. Zaczęliśmy „ściągać” już bez żenady. Początkowo najmniej lubianym, podejrzanym o wątpliwą postawę, a potem... już wszystkim. Cel uświęca środki.

Praca w podkopie postępowała naprzód. Rosła długość przekopu i zmniejszała się ilość powietrza dla płuc pracujących. Krople potu były coraz rzęsiście. Oświetlaliśmy tunel zdobytą latarką elektryczną. Częste były wypadki zemdleń przy pracy.

Studzienka z wylotem, skąd odbierano ziemię, zakryta była stolikiem z nisko opuszczonym kocem. Ale jakże wymagać gry od brydżystów, skoro siępi deszcz. Wzrastały nowe problemy i trudności. Trzeba było ćwiczyć szybki skok w głąb po przesunięciu zakrywającej otwór płyty na uchwytach z drutów. Sztukę tę doprowadziliśmy do poziomu cyrkowego. Podkop zaczął zbliżać się do linii drutów okalających obóz. Stwierdziliśmy rosnące zainteresowanie tajemną robotą rozszyfrowanych już konfidentów. Szczególnie obserwowaliśmy dwóch: Semana i Rogowskiego.

Podporucznik Seman był oficerem niemieckim przerzuconym swego czasu na Śląsk. Powołany do służby w wojsku polskim, odbył ją w jednym z pułków piechoty, gdzie zdobył stopień podoficera. Przyjęty został do służby stałej. Czyjaś opinia spowodowała przyjęcie go do szkoły podchorążych w Bydgoszczy. Niespodziewanie przychwycony został na pracy szpiegowskiej. Jeszcze większą niespodzianką było nie tylko zatuszowanie sprawy, ale nawet nieprzyjemności, jakie miał z tego powodu odkrywca afery kapitan Poluk. Seman znalazł się w Woldenbergu jako nasz kolega-jeniec.

Seman starał się zbliżyć do organizatorów podkopu. Poznawszy mnie osobiście, salutował z tak przesadną grzecznością, że wydało mi się to bardzo podejrzane. Krążył wokół mnie coraz bliżej. Wreszcie podczas jednego ze spacerów powiadomił mnie że ma zamiar uciec z niewoli. Prosi o pomoc, informacje, rady. Na pewno uczyniłem na nim wrażenie niezbyt rozgarniętego. Tak mało wiedziałem, tak skąpe były moje kontakty. Obiecałem solennie w razie zdobycia jakichś wiadomości przekazać mu je natychmiast, aby mógł zrealizować patriotyczny zamiar „wiania”.

Podobną karierę konfidencką, miał za sobą Rogowski. Ten został w dodatku przydzielony do mojego baraku. Rogowski był przed wojną cenionym działaczem społeczno-politycznym: prezesem „Strzelca” Związku Osadników Ziemi Zachodnich itd., itd. Prawie narodowy bohater. Z zawodu był naczelnikiem poczty.

Pewnego dnia otrzymujemy wiadomość, że Niemcy rozpoczęli w obozie poszukiwania, świadczące, iż mają jakieś wiadomości o podkopie. Ze studzienki nr 2 w mig wyciągnęliśmy pracujących kolegów. Sprzęt został ukryty. Otwór zamaskowany. W studziencie nr 1 pracował jeden z kolegów. Nie było możliwości uprzedzenia go i wyciągnięcia. Wkrótce... wyciągnęli go Niemcy.

Nastąpiły aresztowania przywódców akcji. Mnie tłamszono długo zarzucając sabotaż, sugerując, że siekierkę przygotowywałem do mordowania Niemców. Trzymałem się twardo, żądając świadków-oskarżycieli. Zdecydowaliśmy, że dla uspokojenia i uciszenia szwabów musimy spośród siebie „delegować” dwie ofiary jako współników pracy przy podkopie. Zdecydowano losowanie. Dwóch „szczęśliwców” ukaranych zostało dwutygodniowym aresztem.

Ponieważ mocno nam konfidenci deptali po piętach, organizowaliśmy zamach na najgroźniejszego z nich, osławionego podporucznika Semana. Seman nie zasługiwał na względy. Trzech zamaskowanych kolegów tuż przed wejściem do baraku miało napaść na niego z łomem żelaznym. Zwłoki miały być ukryte w kloaczynym dole. Tuż przed wejściem do baraku XVI B Seman otrzymał pierwsze uderzenie łomem i wydał rozzwierający krzyk. Udało mu się jednak uciec z życiem. Mocno zakrwawiony wpadł na wartownię niemiecką i tam u swoich znalazł pomoc. Ucieczka do Niemców była dla wszystkich ostatecznym dowodem jego powiązań z nimi.

Dochodzenia niemieckie nie dały rezultatu: sprawcy zamachu pozostali niewykryci. W ten sposób pozbyliśmy się jednego z konfidentów, który już do obozu nie wrócił. Inni konfidenci odtąd pracowali już ostrożniej.

Po tych niepowodzeniach trzeba było obmyślić inny, skuteczniejszy sposób wyrwania się z drutów.

Przygotowania

Dobrałem sobie przede wszystkim siedmioosobową grupę oficerów. Obserwacja izby chorych i przeprowadzenie szeregu wywiadów z oficerami, którzy w niej przebywali, pozwoliła ustalić, że ciężiej chorych, wymagających specjalnych zabiegów, wywożą Niemcy do szpitala mieszczącego się poza Woldenbergiem. Dowiadujemy się, jak się z nimi obchodzą i jakie obowiązują przy tej okazji formalności. Najlepszych informacji udzieli nam personel lekarski z doktorem Szubzdą na czele. W określonym dniu wartownik zbierał chorych po załatwieniu formalności w izbie chorych i wyjeżdżał z nimi do szpitala. Chorzy ci już wcześniej byli powiadamiani o terminie wyjazdu. A zatem, chcąc uciec tą drogą, będziemy musieli naśladować wszystkie czynności, jakie obowiązywały w takim wypadku: wyjść z baraku wraz z wartownikiem, udać się do izby chorych i po upozorowaniu załatwienia koniecznych formalności przejść główną bramę i z kolei udać się do baraku Abwehry, tam również przeczekać na korytarzu, pozorując jak w izbie chorych załatwienie przepisowych spraw.

Barak Abwehry znajdował się poza drutami. Odbывała się w nim szczegółowa rewizja i sprawdzanie personaliów. Z Abwehry już pod pełną eskortą prowadzono chorych na stację kolejową w Woldenbergu. Naszym zamiarem było li tylko dojście do Abwehry, skąd, wykorzystując ciemności, chcieliśmy zniknąć w otwartym polu.

Zdawaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, byliśmy jednak zdecydowani, śmiałość akcji pociągała nas. Początkowo grupa, która przystąpiła do opracowywania projektu, liczyła siedmiu oficerów. Byli to oprócz mnie porucznicy: Edward Madej, Kazimierz Nowosławski, Stanisław Bes, Jan Wojciechowski, Drzyzga, oraz podporucznik Jerzy Kleczkowski.

Jako najstarszy stopniem (we wrześniu 1939 otrzymałem awans na kapitana) i znany kolegom z organizowania poprzednich ucieczek, objąłem kierownictwo, któremu się po wojskowemu podporządkowali. Byli to jedni z najdzielniejszych oficerów kampanii wrześniowej 1939 roku.

Obecne przygotowania podzieliłem na trzy części:

- a) stały kontakt z izbą chorych i obserwacje naszej drogi wyjścia,
- b) przygotowanie wyposażenia dla wartownika, którym miał być według planu jeden z kolegów,
- c) osobiste przygotowanie każdego z do ucieczki.

Najtrudniej było przygotować owego fikcyjnego Niemca-konwojenta. Nie tylko musiał doskonale znać język, ale i mieć mundur, karabin z bagnetem, pas i ładownicę na naboje. O pomoc w zdobyciu munduru zwracamy się do szeregowych jeńców, pracujących w niemieckim magazynie mundurowym.

Okazało się, że w magazynie munduru zdobyć się nie da. Trzeba więc próbować zrobić go samemu. W tym celu, znowu z pomocą szeregowych, zaopatrujemy się w odpowiednie farby, aby nasze mundury zbliżyć do koloru „feldgrau”, Polskie kierownictwo kuchni wypożycza nam kotły i umożliwia próby ufarbowania.

Praca była bardzo skomplikowana i ryzykowna. Ponosimy klęskę. Farbowanie nie udaje się. W efekcie poplamiliśmy tylko mundury i płaszcze. Próbujemy z kolei ufarbować płaszcz lotniczy, jaśniejszy od naszych; również bez rezultatu. Pozostaje nam zdobyć autentyczny niemiecki mundur. Liczymy nadal na szeregowych. Jednym ze sposobów rozwiązania problemu, rozpatrzonym przez nas, był zamach na umundurowanego Niemca w samym obozie. Była to jednak ostateczność, bardzo ryzykowna i wymagająca poważnego zastanowienia się. Represje za zabójstwo Niemca byłyby bezwzględne. Zniknięcie jednego

z Niemców mogłoby naprowadzić na nasz ślad. Tak więc sprawa munduru pozostaje w zawieszaniu.

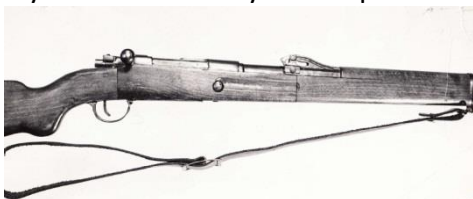


Na razie staramy się o uzbrojenie. Chcemy je wykonać sami, z materiałów, jakie mamy do rozporządzenia. Karabin i bagnet powinny być wykonane w całości z drewna i pomalowane tak, aby dawały pełne wrażenie autentyczności. Sporządzaniem uzbrojenia zajęli się podporucznik Kleczkowski i podporucznik Bez oraz dobrany przez nich chorąży, były zbrojmistrz (nazwiska nie pamiętam). *(Zapewne mowa tutaj o por. Witoldzie Rytwińskim, wykonawcy drewnianej atrapy karabinu typu mauser oraz bagnetu, patrz foto. dop. ap)*

Przede wszystkim poprosiliśmy o pomoc warsztat teatralny, którym kierował podporucznik inżynier Sztajduchert. Nasi koledzy, którzy nieraz już wykonywali świetne - jak na obozowe warunki dekoracje dla amatorskiego teatru, rozumieją, że teraz praca jest poważniejsza. Nie chodzi tym razem o efekt artystyczny, ale o życie ludzi i powodzenie śmiałej akcji. Karabin składał się z dwóch ściśle dopasowanych części, by łatwiej można go było przechowywać.



Bagnet na stałe połączono z karabinem. Pochwa bagnetu z zewnątrz wyglądała jak prawdziwa, w braku jednak odpowiednich narzędzi nie wydrążono w niej otworu, lecz tylko zamalowano imitującą, go ciemną plamą. Pokrowiec na bagnet, podobnie jak ładownice, wykonano z tektury i także pomalowano.



Robota była tak znakomita, że trudno było się dopatrzeć imitacji, niemniej w nie sprzyjających warunkach mogła być przez Niemców wykryta. Dość dużo kłopotu mieliśmy z pasem. Nasze pasy odebrano nam już wcześniej. Na szczęście znalazł się u jednego z kolegów galowy pas oficerski. Pomalowanie nie nastęrczało trudności. Gorzej było z kłamrą.

Oryginalnej kłamry z napisem „Gott mit uns” nie znaleźliśmy. Trzeba więc było zastąpić ją kawałkiem blachy z puszki od konserw. Liczyliśmy zresztą na to, że tę część można będzie przykryć ładownicami. Podporucznik Adam Grabowski dał nam furażerkę, której kolor przypominał „feldgrau”, a niemiecki orzeł wykonany został starannie przez artystę malarza. Nie mogliśmy także zdobyć butów. Okazało się jednak, że polskie buty polowe były mniej więcej podobne do niemieckich. Buty takie miałem.



Munduru jednak jak nie było, tak nie było. Mimo wielkiej pomysłowości wszystkie usiłowania dotychczas nie dawały efektu. Okazało się, że łatwiej było o sławny obozowy wynalazek dmuchawek wiatrakowych do piecyków niż o upolowanie niemieckiego munduru.

Gotowe uzbrojenie z wielkimi trudnościami ukrywaliśmy przed okiem Niemców. W dalszym ciągu łamiemy głowę: mundur, mundur, mundur... Próbę psychicznej wytrzymałości nie wszyscy członkowie grupy potrafili znieść. Coraz krótszy czas dzielący nas od realizacji zamierzeń, coraz większa nerwowość i rysujące się przed nami tysiące coraz to innych, coraz to nowych przeszkód spowodowały, że pierwszy odpadł znający płynnie język niemiecki – porucznik Drzyzga, który miał odegrać rolę konwojenta-Niemca. Później rezygnują porucznik Bes i porucznik Wojciechowski.

Poszukiwanie umundurowania trwa. Zimna pora roku pozwalała na ograniczenie się tylko do użycia płaszcza, który mógłby przykrywać mundur polski. Pomaga nam jak często w życiu

szczęśliwy przypadek. Spacerując po placu obozowym spostrzegłem, że świeżo przybyły do naszego obozu major ma na sobie płaszcz francuski o kolorze zbliżonym do niemieckiego. A zatem płaszcz jest, ale nie w naszych rękach. Jak go zdobyć? Komponuję historyjkę, że chcemy od właściciela pożyczyć płaszcz w związku z przedstawieniem z okazji imienin marszałka Piłsudskiego. Stary oficer, przypuszczalnie legionista, prośbie na pewno nie odmówi. Prawdy nie chcemy wyjawić w obawie przed dekonspiracją. Major, zgodnie z przypuszczeniami, zgodził się zamienić swój ubiór na nowy płaszcz artyleryjski, dodając tylko dla pewności: „Panowie... żebym ja nie miał jakichś nieprzyjemności”. Zapewniliśmy go, że nie ma żadnych podstaw do obaw, gdyż o wszystkim wiedzą dobrze władze obozowe. Uff... spadł nam doprawdy wielki kamień z serca. Zdobyty płaszcz przekazujemy kolegom dla wzbogacenia go wszelkimi niezbędnymi dodatkami, z oryginalnymi guzikami włącznie.

Musiałem poszukać nowego kandydata na konwojenta z doskonałą znajomością języka niemieckiego. Spośród kilkudziesięciu zakonspirowanych współpracowników podkopu wybrałem bardzo dzielnego kawalerzystę z kampanii wrześniowej 1939 roku. Był nim podporucznik Zygmunt Siekierski świetnie władający językiem niemieckim.

Na spacerze wtajemniczyłem go w nasze plany. Siekierski przyjął propozycję z miejsca. Obiecał w krótkim czasie przygotować się do ucieczki. Odtąd brał udział w naszych zakonspirowanych zebraniach. Ponieważ potrzebne nam były pieniądze, a dysponowaliśmy tylko tzw. „Lagermarkami” (ważnymi w obiegu obozowym), zwróciłem się do polskiego komendanta obozu prosząc go o „Reichsmarki”. Komenda obozu posiadała bowiem możliwości zdobycia waluty niemieckiej. Rozmowa z pułkownikiem nie pozostawiła mi wspomnień zachwycających. Prośba, połączona z koniecznym powiadomieniem o zamiarze ucieczki, nie wywołała jego entuzjazmu. Wówczas byłem tym bardzo dotknięty, teraz jednak, po piętnastu latach, rozumiem ten chłodny stosunek do naszego przedsięwzięcia. Często w konsekwencjach tragiczne były niepowodzenia, a represje dotyczyły cały obóz. Jak głęboka była wiara w słuszność naszej decyzji, świadczy moja odpowiedź, że bez względu na pomoc dowództwa... uciekniemy. Efektem rozmowy było uzyskanie 50 marek. Suma nawet na najskromniejsze potrzeby stanowczo za mała. Szczęściem pomogli nam koledzy, od których dostaliśmy dużo więcej. Marki te, troskliwie ukrywane przed licznymi rewizjami, stanowiły ich kapitał na czarną godzinę.

19 marca 1942

Kiedy już wszystko było gotowe, po porozumieniu się z izbą chorych ustalamy termin ucieczki na noc z 19 na 20 marca 1942 roku. Opuszczenie baraku nastąpić ma przed świtem. Jako punkt wyjściowy wybieramy barak I B, położony najbliżej głównej bramy. Mieszkali tu zresztą porucznik Madej i porucznik Nowosławski. Ponieważ opuszczenie baraku w nocy groziło śmiercią, musieliśmy we trzech przyjść tam wcześniej pod jakimś zmyślnym pozorem. Jako pretekst posłużyły opóźnione imieniny Edwarda Madeja, na które zostaliśmy zaproszeni, aby tam zasiedzieć się i tym samym pozostać w baraku na noc. W ostatnich dniach przygotowań na obóz spadła fala rewizji, jak gdyby Niemcy coś przeczuwali.

Nadszedł dzień 19 marca. Ekwipunek swój i „Niemca” przenieśliśmy do baraku I B jeszcze za dnia. Karabin, bagnet, ładownice i płaszcz zostały przez nas przerzucone dopiero na chwilę przed zamknięciem baraku. By uniknąć podejrzeń, postanowiliśmy wyjść z obozu z walizkami, w których miały być ukryte nasze plecaki i chlebaki. Od podporucznika Zbigniewa Pietrasa otrzymałem na drogę zegarek, gdyż mój uległ zniszczeniu w poprzedniej ucieczce w 1940 roku.

Podczas ostatniego wieczora spędzonego jeszcze w obrębie drutów każdy z nas przeżywał i samotnie trawił nadzieje i obawy. 19 marca zastał mnie opanowanym. Byłem napięty jak cięciwa. Jak każdemu przywódcy podobnie ryzykownych przedsięwzięć ciążyła na mnie odpowiedzialność za wszystkich pozostałych kolegów.

Pomimo zrozumiałych i ludzkich przecież nieporozumień, które trafiały się między nami, uświadomiłem sobie tego wieczora, jak cała ta czwórka kolegów jest mi droga. Ale to nie był czas na ujawnianie wzruszeń...

Rozpoczynają się „imieniny”. Organizowali je porucznik Edward Madej i porucznik Kazimierz Nowosławski, którym bardzo oszczędny tryb życia przyniósł popularne i żartobliwe przezwisko „chomików”. Każdy z nas po otrzymaniu paczki likwidował jej zawartość w sposób zgoła niefrasobliwy, a często błyskawiczny (zależnie od apetytu ilości przyjaciół). Oni natomiast jedli tylko to, co łatwo mogło ulec zepsuciu, wszystko inne odkładając pieczołowicie na wypadek ucieczki lub na nie sprecyzowaną bliżej „czarną godzinę”. Teraz wydobyli najskrytsze zapasy. Czas mijał wesoło. Jakiś barakowy muzyk umiał go nam swojskimi melodiami.

Prycze gospodarzy znajdowały się w samym rogu baraku, co było dla nas szczególnie dogodnie. Nie mniej trzeba było zachować pełną ostrożność. Godzinę pogotowia wyznaczaliśmy na 4.00, do tego czasu muszą czuwać kolejno zmiany. Obawialiśmy się zdrady jeszcze przed wyjściem, toteż na czuwającym ciążyła szczególna odpowiedzialność. Zresztą i tak nikt z nas nie mógł zasnąć. W baraku spało ponad stu ludzi. Wszystko odbywa się jak zwykle: jedni mamrocą we śnie, inni wzdychają, większość... pospolicie chrapie. Dochodzi 4.00. W myśli powtarzaliśmy uzgodnione i wyuczone na pamięć przykazania wspólnej akcji. W najgłębszej ciszy zbieramy się do wyjścia. Walizy wynosimy do umywalni. Tam ubieramy się do drogi, część z nas nakłada bandażę. Musimy przecież poza drutami robić wrażenie



rzeczywiście chorych. Przeprowadzamy konieczną charakteryzację. Dopiero w ostatniej chwili przebieramy podporucznika Siekierskiego za „Niemca”. W półmroku „stalowo” połyskuje na drewnianym karabinie drewniany bagnet. Jesteśmy gotowi.

Niespodziewanie w drzwiach umywalni stanął jeden z kolegów-jeńców. Gdy spojrzał na „Niemca” stojącego nieruchomo z karabinem w rękę, zawahał się w progu, skrzywił i spojrzawszy jeszcze raz z niechęcią na szwabski mundur zatrzasnął za sobą drzwi. Wróżba była dobra: „swój” nie poznał. Raz jeszcze przypominam każdemu drogę wycofania się do baraku na wypadek ostrzelania nas przez wartę. Ustalamy, że gdybyśmy zostali zatrzymani w bramie po jej otwarciu i rozpoznani lub gdyby zażądano od nas dokumentów, których nie posiadaliśmy, mamy przebić się na zewnątrz obozu siłą.

No, czas na nas... Otwieramy w umywalni okno i okiennice i we trójkę z podporucznikiem Jerzym Kleczkowskim ostrożnie wyskakujemy dla rozpoznania najbliższego terenu. Inni na razie czekają w umywalni. Jest noc, prószy śnieg. Od strony bramy głównej nadchodzi patrol z psami. Wskakujemy z powrotem do umywalni i czekamy, aż patrol zniknie w głębi obozu. Wychodzimy po raz drugi, tym razem dokoła jest pusto. Daję znak pozostałym, dołączają. Formujemy się w trójki, każdy dźwiga w rękę walizę, z tyłu postępuje za nami „Niemiec”. Idziemy tak jak chorzy, krokiem powolnym, niektórzy kuleją.

„Niemiec” nawet dla nas, najbliższych kolegów, zmienił skórę. Kroczy jak automat, niechętnie, boć jeszcze czas na sen prawdziwego obywatela Wielkiej Rzeszy. Kroczy nieufnie, zachowując naturalny, wrogi dystans do konwojowanych jeńców. Po przejściu pierwszej nie strzeżonej bramy kierujemy się do izby chorych. Wchodzimy na korytarz zachowując ciszę i po kilku minutach czekania wysuwamy się na zewnątrz, po rzekomym załatwieniu

formalności. Teraz nadchodzi decydująca próba. Z baraku izby chorych przez otwarty wjazd do bramy głównej.

Gdy przeszliśmy kilkanaście kroków, z wieży strażniczej pada na nas wielki snop światła i prowadzi nas aż do samej bramy. Idziemy jeszcze niedoświetlonej, prawie się potykając. „Niemiec” przyjmuje postawę nonszalancką, która świadczy wyraźnie zarówno o jego niechęci do regulaminu, jako wrogości do prowadzonych Polaków. Zimne światło reflektora penetruje nas, dociera do każdej zafałszowanej części ubioru, przenika nawet myśli. Widzieliśmy wymierzony w naszą stronę karabin maszynowy.

Mogli nas wystrzelać bez ostrzeżenia. Podeszliśmy do bramy. Wartownik spytał: „Dokąd?” Podporucznik Siekierski trzymając niedbale karabin odpowiedział: „Otwórz”. „Dokąd?” - spytał po raz drugi wartownik. Padła spokojna odpowiedź: „Do Abwehry”. Wartownik bez słowa otworzył bramę i przepuścił grupę. Chwila obawy: może zapyta o dokumenty... Jesteśmy już za bramą i słyszymy, jak nasz konwojent żartuje z wartownikiem na temat pogody. Wszystko w porządku. Słowo „Abwehra” zrobiło odpowiednie wrażenie. Przechodzimy obok wartowni, gdzie stoi wartownik alarmowy. Trafem dołączył się do niego jeszcze dowódca warty. Przyglądali się nam z zainteresowaniem. Byliśmy doskonale widoczni, gdyż rejon bramy z wartownikiem był silnie oświetlony. Wolnym krokiem wyszliśmy z kręgu światła i zbliżyliśmy się do baraku Abwehry. Tu również trzeba było chwilę przeczekać w korytarzu. Gdy chwyciłem za klamkę od drzwi, przez chwilę znieruchomiałem. Barak był zamknięty. Zaskoczenie zupełne. Obejrzałem się. Nie byliśmy już obserwowani. Szybko decydujemy się: trzeba maszerować dalej. Skręcamy za barak niknąc z pola widzenia wartowni i głównej bramy. Dotychczas wszystko toczyło się zgodnie z naszymi przewidywaniami.

Pierwsze zaskoczenie wyzwoliło jednak rosnące w nas zdenerwowanie. Dwóch kolegów zrywa się do biegu. Przyciszonym głosem powstrzymuję ich i w normalnym szyku idziemy dalej. Przecież gdyby jakiś przypadkowo przechodzący patrol lub pojedynczy Niemiec zauważył czyjeś wyłamanie się z uformowanego szyku, na pewno zechciałby pomóc naszemu „wachmanowi”...

Dla zatarcia śladów i zmylenia pościgu z psami wchodzimy na szosę i dopiero po kilometry skręcamy w pola, biorąc kierunek w las. Jest jeszcze ciemno, ale zbliża się świt. Widzimy mocno oświetlony obóz, wieże wzdłuż drutów kolczastych, wartowników, patrole z psami. Radość była tak mocna, tak przejmująca, że jeszcze o kilometry całe od ciemniejącej ściany lasu wydało mi się, że wyraźnie czuję zapach igliwia. Obóz spał. Nie wiedzieliśmy, że właśnie w tym czasie jeden z naszych kolegów, który zrezygnował z udziału w naszej „wycieczce”, teraz szalał, przeklinał swoją rezygnację, modląc się o dalszą pomyślność naszej eskapady. To on, porucznik Bez, powiadomił polską komendę obozu, że nam się udało.

Przed świtem trzeba dotrzeć do lasu.

Kołysząc się w biegu, ściskając w ręku objajające kolana walizy, co chwila nastłuchując, czy już nie budzi się obóz alarmem, nie mówiliśmy do siebie nic. Zadyszeliśmy się. Po drodze podporucznik Kleczkowski gubi mapnik z fotografią swej rzeczony, chce po niego wracać, lecz i nie ma to czasu, i w półmroku mapnik trudno znaleźć. Świt zastaje już nas w lesie. W najgłębszym wzruszeniu zdejmujemy czapki i modlimy się. Z całą tak długo hamowaną siłą odczuwamy wolność. Nie wiemy, co nas czeka. Wielkie trudności jeszcze przed nami, lecz w tej chwili jesteśmy wolni.

W lesie śnieg na metr głębokości. Idziemy na przełaj. Odbijamy jeszcze w głąb lasu, w gęste krzaki, porzucamy zbędne już walizki, nakładamy plecaki i chlebaki z żywnością. Podporucznik Siekierski zdejmuje „niemiecki” płaszcz uznając, że to już niepotrzebny balast, podobnie jak karabin i ładownice. Sprzeciwiam się temu, popiera mnie podporucznik

Kleczkowski i godzimy się nieść we dwójkę wyposażenie wartownika, byleby się nie wyzbywać go lekkomyślnie.

Droga do Piły

Jest piękny, mroźny wschód słońca. Marszem ubezpieczonym idziemy dalej na wschód. Do Polski. Napotykamy głębokie zasy, śnieg sięga po pas. Posuwanie się wymaga wielkiego wysiłku fizycznego. Wysuniętych szperaczy trzeba często zmieniać, niektóre odcinki przechodzimy biegiem, po czym krótko odpoczywamy. Wszystko idzie tak sprawnie, że moglibyśmy być wzorem doskonale działającego patrolu. Słoneczna pogoda nadal dopisuje. Brak wody do picia daje się nam we znaki coraz bardziej. Mamy busołą, maszerujemy więc na kierunek. Brakło nam jednak dobrej mapy, mieliśmy - co wydać się może śmieszne tylko mapę ogólną... z kalendarzyka.

Trudny marsz odczuwa najbardziej podporucznik Siekierski, który szedł w za ciasnych butach. Widząc jego cierpienia i wyraźnie „gasnące” samopoczucie albo udajemy, że nie widzimy niezręcznych poruszeń kolegi, albo celowo to bagatelizujemy, żartując, kpiąc i przypominając pocieszne dykteryjki o ukaranych elegantach. Humor Siekierskiemu poprawił się, ale ból był coraz większy. Po kilku godzinach marszu miał starte palce i pięty, a w butach pełno krwi. Nadal staramy się zachować jak najszybsze tempo marszu.

Po drodze widzieliśmy z daleka Niemców pracujących w lesie. Miejsca takie okrążaliśmy starannie, unikaliśmy również śnieżnych śladów. Pragnienie gasiliśmy śniegiem. W południe zdecydowaliśmy się na odpoczynek w lesie. Spożywamy zimny posiłek. A potem... dalej marsz lasem, kierunek wschód.

Trasę znałem z mojej pierwszej ucieczki; wykorzystuję obecnie nabyte doświadczenie. Podporucznik Zygmunt Siekierski mimo poranionych stóp nie godzi się na jakiegokolwiek ulgi, lecz bardzo ambitnie, choć z zaciśniętymi zębami maszeruje tak jak każdy z nas. Na dłuższy odpoczynek zatrzymujemy się dopiero po zapadnięciu zmroku. Nie wiemy, gdzie jesteśmy. Marsz nas mocno wyczerpał. Zdejmujemy buty. Niewesołe były oględziny stóp i przysposobienie ich do dalszego marszu. Jesteśmy mocno spoceni od nadmiernego wysiłku. Tempo było przecież olimpijskie. Chwyć silny mróz i wszystko na nas zaczyna marznąć. Niektórzy koledzy czują się źle, dostają dreszczy... A przecież do Warszawy jeszcze setki kilometrów.

Naradzamy się nad dalszym planem ucieczki. Rozpatrujemy różne projekty. W końcu zapada decyzja, że trzeba wykorzystać strój „Niemca” i pociągiem dostać się w okolice Poznania. Tam już podporucznik Siekierski, pochodzący z owych stron i mający znajomości, znajdzie jakąś pomoc. Trzeba przyznać, że Siekierski ponowne obarczenie go rolą „Niemca” przyjął początkowo bez entuzjazmu. Nawet nieprawdziwy strój niemiecki musiał wzbudzać w nas odrazę, coś więc dziwnego, że nieszczęsny bohater wstrząsał się na myśl o dalszym noszeniu hitlerowskiej skóry. Jak i my rozumiał on jednak, że był to fortel nieunikniony. Dobrze się stało, że nie porzuciliśmy wcześniej niemieckiego” oporządzenia. Postanawiamy jechać pociągiem w nocy, gdyż o tej porze trudniej zdekspirować fałszywy ubiór. Suniemy leśną drogą do najbliższej stacji. Pomimo mrozu rozgrzewamy się marszem, mundury wysychają pod wpływem wiatru i naszego własnego ciepła. Wychodzimy na otwarte pola. Z daleka widać światła jakiejś miejscowości, słychać szczekanie psów. W naszym kierunku idzie jakaś kobieta. Podporucznik Siekierski pyta o najbliższą stację kolejową i próbuje zorientować się w najbliższej okolicy.

Niemka była gadatliwa. Okazało się, że najbliższą stacją jest Drezdenko (Driesen). Idziemy na stację. Po drodze oddajemy naszemu „wachmanowi” wszystkie posiadane pieniądze. Boimy się, czy wystarczy na bilety dla wszystkich. Nie byliśmy zorientowani w aktualnych cenach biletów kolejowych.

Ustalamy, że gdyby przy kasie żądano jakichś dokumentów, wtedy jeden z nas upozoruje samowolne oddalenie się, co dla „konwojenta” będzie pretekstem odskoczenia od kasy. Dochodzimy do niewielkiego miasteczka. Jest, jak połowa świata, zaciemnione. Jakiś przechodzień zapytuje „wachmana”, co to za jeńcy. Przypatruje się nam, kiwa głową. Wreszcie wchodzimy na stację. Mamy stąd jechać do Poznania, jakoby do szpitala. Na stacji widzimy jakiegoś uzbrojonego Niemca, w mundurze nie znanej nam wtedy organizacji. Nie mamy pewności, czy posiadane przez nas pieniądze są obecnie w obiegu.

Aby to sprawdzić, wchodzimy do bufetu, Zygmunt zaś zamawia piwo i herbatę i płaci z góry. Bufetowa bez mrugnięcia wydaje resztę. Oddychamy. Dowiadujemy się, że pociąg do Poznania już odszedł, wobec czego postanawiamy jechać do Krzyża i stamtąd dopiero szukać połączenia. Wszelkie poważniejsze problemy rozstrzygaliśmy przedyskutowując je wspólnie, oczywiście tak, aby nikt niepożądany naszych rozmów nie słyszał. Mniejszość podporządkowywała się większości. Jeśli chodzi o moją osobę, dowódcy grupy, widziałem, że przekonywające dla kolegów było przede wszystkim moje większe doświadczenie i może troszkę, związany z temperamentem i zdolnością panowania nad sobą spokój.

Przewidując jakąś skomplikowaną sytuację rozpatrywaliśmy ją we wszelkich możliwych odmianach, starając się przewidzieć różne zaskakujące okoliczności. Pieczołowicie dzieliliśmy między siebie role, pozostawiając przyszłemu aktorowi obmyślenie najlepszego sposobu jej zagrania.

Po opuszczeniu bufetu podeszliśmy do kasy i nasz „konwojent” poprosił o pięć biletów do Krzyża. Kasjer pyta, czy dla niego ma być zniżkowy. Zygmunt sprytnie odpowiada, że nie, ponieważ jedzie na nasz koszt. Po otrzymaniu biletów wchodzimy do pociągu. Przypadł nam tłoczny przedział. Zaciemnienie jest nam bardzo na rękę. Staramy się tak ustawić, by odgrodzić naszego „konwojenta” od niemieckich pasażerów. Budzimy zainteresowanie. Niemcy wciąż o coś pytają „wachmana”, aż w końcu miał on tego dość. Najbardziej natrętnego solidnie objechał. Rozdrażniony pasażer odgrażał się, że przy najbliższej okazji złoży skargę na nieodpowiednie zachowanie się konwojenta. Rzeczywiście, dojechawszy do Krzyża widzimy przy wysiadaniu, że żali się on jakiemuś bahnschutzowi. Ten skargę zlekceważył, nie chcąc widać wchodzić w konflikt z żołnierzem Wehrmachtu.

Pierwszego z brzegu kolejarza Zygmunt zapytał o najbliższy pociąg do Poznania. Okazało się, że pociąg taki odchodzi dopiero około godziny 4.00 rano. Nie zatrzymamy się w poczekalni. Krzyż leży blisko Woldenberga i mogliśmy narazić się na schwytanie. Poprzez różne płyty przeszliśmy na boczny tor. Tam znajdował się zestaw pustych wagonów i Jurek otworzył jeden z nich kluczem zabranym od kolegi z obozu. W wagonie pozostaliśmy na noc, zachowując absolutną ciszę. Silny mróz uniemożliwia jakikolwiek odpoczynek. Szczególnie marzną nam nogi, a mowy nie ma przecież o stukaniu w podłogę i rozgrzaniu się. Skuleni, wciśnięci w ścianę wagonu, jak gdyby poza oparciem mogła nam ona dać błogostawione ciepło, szcękając zębami marzyliśmy o Poznaniu i Warszawie. Wydawało się nam, że noc trwa w nieskończoność. Ale w końcu minęła. Zbliżała się godzina wyjazdu.

Obliczywszy dokładnie czas potrzebny na przejście do stacji i zakup biletów, ostrożnie opuściliśmy wagon. Na stacji poinformował nas kolejarz, że pociąg odszedł przed kilku minutami. O rozpacz! Przeklinamy wszystkich Niemców za niedokładne wiadomości, co wcale nie zmienia naszej sytuacji. Byliśmy blisko Woldenberga, w dodatku zbliżał się dzień.

Decyzja zapadła prawie z miejsca: jedziemy najbliższym pociągiem w kierunku Polski, bez względu na stację docelową. Najbliższy pociąg ma odejść do Piły. Nie zbliży to nas do celu, choć specjalnie od niego nie oddali, odsunie za to – co najważniejsze – od niebezpieczeństwa, jakie nam może grozić w Krzyżu.

Zygmunt kupując bilety do Piły przy okazji rozpoczął „gadkę” z kasjerką. Siekierski był przystojnym mężczyzną o ujmującym sposobie bycia, co umiejętnie teraz wykorzystywał. Do odjazdu pozostała nam więcej niż godzina czasu. Ponieważ musieliśmy przeczekać na stacji, trzeba było zaszyć się w najciemniejszy kąt. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się kilku żołnierzy, wśród nich tak nam znany dozorca więzienia obozowego. Zdrętwiałem. Początkowo sądziliśmy, że to pościg, ale spokojne ich zachowanie się rozwiało nasze obawy. Bez przeszkód dojechaliśmy pociągiem do Piły. Piłę znałem już z poprzedniej ucieczki. Tutaj byłem doprowadzony do gestapo, tutaj też siedziałem w więzieniu. W czasie drogi zanalizowaliśmy z kolegami nasze nowe położenie. Kiedy wysiadamy na peron w Pile, jest jasny dzień. Pamiętamy że w Pile znajduje się garnizon wojskowy. Mowy nie ma, aby wychodzić na stację. Czekaliby nas wtedy legitymowanie lub możliwość zdemaskowania „konwojenta”.

Na peronach mnóstwo mundurów. Dowiedziawszy się, że najbliższy pociąg do Poznania odchodzi około godziny 15.00, wprost z peronu wychodzimy przez tory poza stację i miasto, kierując się do pobliskiego lasu. Robotnicy pracujący na torach przyglądali nam się z zaciekawieniem. Drewniany karabin zdawał egzamin nawet przy świetle dziennym. Dodało to nam, doprawdy, wiele pewności siebie. Najkrótszą drogą, omijając osoby cywilne, doszliśmy do lasu. Wybieramy na odpoczynek gęste krzaki. Samopoczucie dobre. Pogoda piękna. Ciepłe promienie słoneczne topią śnieg. Przy zachowaniu ostrożności wreszcie możemy z dala od wrogich oczu i uszu odpocząć i swobodnie się naradzić. Czasu było dość, więc przygotowaliśmy sobie solidny posiłek. Podałem pod rozwagę, że dalej nie powinniśmy jechać w odznakach oficerskich, tylko jako szeregowi świadkowie w jakimś procesie w Warszawie. Wiadomo było, że spraw tych Niemcy prowadzili wówczas dość dużo. Plan więc dalszy przewidywał, że odtąd jako „świadkowie”, a w przyszłości prawdopodobnie jako kandydaci na volksdeutschów jedziemy składać zeznania na korzyść Niemców. Nasz „konwojent” jest przy nas raczej dla formy, w związku z tym nie powinno nikogo dziwić, że na czterech Polaków jest tylko jeden Niemiec. W praktyce proporcje bywały na ogół odwrotne. Plan wszystkim się bardzo podobał. Po raz pierwszy podczas ucieczki poczuliśmy się, z dala od czyhających na nas oczu, jak oddział partyzancki. Ubezpieczenie zostało zachowane, brakowało jedynie broni. Apetyty ujawnialiśmy znakomite. Okazało się, że i przebyta droga, i podniecenie nerwowe wywołały w nas jednakowy efekt: jeść, jeść...

Odysei ciąg dalszy

Pamiętam, jak przyjemne było swobodne choć - na chwilę zachowanie się - bezpośrednie i nie udawane. Nie każdy przecież z nas urodził się aktorem. Ciągła gra męczy, szczególnie gdy stawką jest nie pieniądze, ale własna i kolegów wolność, a nawet życie. Ustalamy, że gdyby ktoś zechciał nas legitymować, Siekierski miał go sterroryzować karabinem, a reszta - to znaczy odebranie broni i pokierowanie dalszym losem intruza - miała należeć do pozostałych. Usunęliśmy gwiazdki z naramienników i starannie zatarliśmy po nich ślady. Okazało się ponadto, że w czasie jazdy pociągiem i marszu przez las karabin został jednak lekko uszkodzony. Niewielkie otarcie z farby. Uszkodzone miejsce potarliśmy zwykłym ołówkiem, przywróciło drewnu stalowy połysk.

W przewidzianym czasie opuściliśmy las i bez przeszkód wchodząc na tory dostaliśmy się na peron. Na zapytanie, z którego peronu odchodzi pociąg do Poznania, odpowiedziano nam, że pociąg do Poznania już odszedł. Reakcją naszą był starannie co prawda ukryty - gniew. Znowu źle nas poinformowano. Celowo przychodziliśmy w ostatnim momencie, aby uniknąć styczności z Niemcami i kontroli dokumentów. A tutaj... czyjś błąd czy bezmyślność stawia

nas znowu w nieprzewidzianej sytuacji. Gdybym wtedy mógł dostać w ręce, bez świadków naturalnie i w zmienionych okolicznościach, naszego „informatora” - miałby się z pyszna. Pomimo przykrew sytuacji nie mieliśmy ani czasu, ani ochoty na rozpacz czy załamanie. Należało obmyślić nowe plany, biorąc pod uwagę zmienioną sytuację. Siekierski najpierw ustala, kiedy odchodzi najbliższy pociąg na wschód. Zapytany kolejarz wyjaśnia, że już za kilka godzin (czas był podany dokładnie) będziemy mieli pociąg do Bydgoszczy. Postanowiliśmy nim jechać, ale dręczyła nas myśl o czekaniu na stacji. Na szczęście, na peronie znajdowały się ławki o wysokich oparciach, dokoła których można było manewrować, aby uniknąć bezpośredniego kontaktu z Niemcami. Jak się okazało, dużego ruchu na peronie nie było. Kręcili się pojedynczy Niemcy cywilni i mundurowi. Obserwowali nas z zainteresowaniem. Niemcy robili wrażenie, jak gdyby zapomnieli już, że istniał mundur polskiego żołnierza. W pewnym momencie podszedł do nas niemiecki podoficer i nawiązał rozmowę z naszym „konwojentem”. Był jasny dzień, tym bardziej obawialiśmy się wykrycia. Staraliśmy się swoim zachowaniem zwracać uwagę na siebie. Podoficer stojący o krok od Siekierskiego nie rozpoznał jednak drewnianego karabinu i tekturowych ładownic, choć miał to wszystko teraz tuż przed nosem. Wreszcie nadszedł pociąg, na który czekał. Gdy opuścił nas ten gaduła, odetchnęliśmy z ulga.

Pomimo dotychczasowego szczęścia woleliśmy jednak, aby nas z nazbyt bliska nie oglądano. Po chwili zatrzymał się opodal inny umundurowany Niemiec, jak przypuszczaliśmy, gestapowiec, i bez przerwy na nas się gapił. Stał nieporuszenie przez dłuższy czas, nie zbliżając się jednak. Zaczyna się nam to nie podobać. Koledzy są przekonani, że widać nas rozpoznał, że za chwilę narobi alarmu, że nastąpi aresztowanie. Szczególnie zaniepokojony był Siekierski, gdyż ślepią Niemca jego osobą lustrowały najdłużej. Obawa częściowo udzieliła się i innym kolegom. Ja miałem przekonanie, że Niemiec przygląda się nam z nudów i przypadkowo. Znając brutalność i szybkość działania Niemców w takich wypadkach, byłem pewny, że nie odkrył niczego.

Przekazywałem po cichu optymistyczne wnioski. Znowu do moich wrażeń i wniosków przychylił się Kleczkowski. Wreszcie Niemiec odchodzi. Koledzy z kolei przypuszczają, że poszedł na stację zmobilizować pomoc, aby nas aresztować. Niemiec nie powraca. Zapada zmierzch, dodaje nam to otuchy.

W końcu nadjeżdża upragniony pociąg. Szybko wsiadamy do prawie pustego wagonu. Nie wiemy, czy konduktor zechce nam sprzedać bilety i czy nam starczy pieniędzy. Pociąg rusza. Jedziemy do Bydgoszczy. Uświadamiam sobie wreszcie, że jedziemy już po polskiej ziemi. Po raz pierwszy, choć tyle było mil przede mną, zachciało mi się śpiewać. Na każdej stacyjce wsiadali nowi pasażerowie. Na koniec weszła konduktorka żądając biletów do kontroli. Z naprężeniem oczekiwaliśmy, co się teraz stanie. O ile uda się nam kupić bilety, to poważny kłopot będzie już za nami. Siekierski przekonywająco i ze swadą tłumaczy konduktorce, że z powodu spóźnienia nie zdążył kupić biletu w kasie: czy nie mogłaby mu ich sprzedać. Konduktorka chętnie zgadza się i sprzedaje pięć biletów do Warszawy. Lękaliśmy się już tylko, co będzie, jeżeli naszemu „konwojentowi” zabraknie pieniędzy. Ach, bylibyśmy się tłumaczyli, że zmiana prostej trasy na okrężną spowodowała komplikację finansową. Ale każde tłumaczenie się było przecież ryzykowne, Kupilibyśmy bilety do stacji bliższej. Po podaniu przez konduktorkę ceny zorientowaliśmy się z miejsca, że fundusz nasz wystarczy. Ba... jeszcze coś nawet zostanie.

Siekierski, przyjąwszy pięć biletów, z miejsca przeszedł do innej, nie służbowej rozmowy. Oczarowana komplementami konduktorka naturalnym biegiem rzeczy zapomniała o służbie, przedłużając pobyt w naszym przedziale i wpatrując się z zachwytem w szarmanckiego żołnierza. Kiedy zachwycona niewiasta z wyraźnym żalem i głośnym westchnieniem ruszyła

w dalszy obchód wagonów, jeden z nas „konwojowanych”, Kazio Nowostawski, powiedział do niej parę słów po niemiecku. Wyraźnie zdziwiona spytała, skąd zna ten język. Kazio odpowiedział niedbale, a nieostroźnie, że może z nią też pomówić po francusku, jeśli ma na to ochotę. Niemka spojrzała niepewnie i zmieniała od razu rozmówcę, sądząc, jak zorientowaliśmy się, że to kpiny z jej osoby. Swoją drogą Kazio został dyskretnie kopnięty w kostkę. Zapomniał przecież, że jedziemy jako szeregowi i że nie wolno nam zwracać na siebie uwagi. Na najbliższej stacji konduktorka opuściła nasz wagon.

Teraz nastąpiło wydarzenie, którego chyba nigdy nie zapomnę. Jechaliśmy już ziemią bydgoską przez tereny doskonale znane Zygmuntowi Siekierskiemu. Niespodzianie na jednej ze stacji wsiadły do przedziału naszego dwie kobiety. Jedna z nich była ładna. Zagapiliśmy się wszyscy, zapominając na chwilę o ostrożności. Nie zwróciliśmy uwagi na to, że jedynym, który po krótkim spojrzeniu na wchodzące odwrócił od nich oczy i nawet dokonał obrotu ciała w inną stronę, był Siekierski. Były to Polki. Po chwili zmytygowaliśmy się nieco z ujawnianiem zachwytu, ale cóż, gdy afekty zostały odwzajemnione. Piękna pani patrzyła na nas z zainteresowaniem, dopytywała o nasze losy. Przedział wypełniony był pasażerami. Nikt z Niemców nie zwracał uwagi na rozmowę z jeńcami. W pewnej chwili towarzyska podróży nie patrząc w stronę milczącego „konwojenta”, zapytała podporucznika Kleczkowskiego, kim jest jadący z nami Niemiec. W odpowiedzi udzielonej szeptem Siekierski został określony jako „Bawarczyk”, skądinąd porządny chłop. Trudno sobie wyobrazić zdumienie nasze i przerażenie, gdy kobieta drżącym z przejęcia i rozpaczony głosem odparła: „To... nieprawda! Ja go znam... Zygmunt Siekierski Niemcem!” Poczułem pustkę w głowie. Myślałem już tylko o tym, jak, na Boga, zamknąć jej usta. Kleczkowski starał się jej wmówić, że uległa jakiejś omyłce, bo... skąd? My znamy... my wiemy...

Nic z tego. Kobieta jest tak przejęta zdradą Zygmunta, że aż żał na nią patrzeć. Siekierski nieporuszenie wpatruje się bezmyślnie w okno, przesuwając tępy spojrzeniem po jadących Niemcach. Omija jednak oczami naszą grupę. Widzieliśmy, co przeżywa, ale nawet nie drgnął. Obserwowaliśmy z natężeniem reakcję każdego z jadących Niemców, zdecydowani - w razie stwierdzenia jakichś podejrzanych reakcji działać siłą. Niemcy jechali jednak spokojnie, gwarząc między sobą i jak zwykle posilając się obficie i z namaszczeniem: Dotykały nas oczy obojętne czy niechętne. Innych spojrzeń na szczęście nie było. Pomiędzy obiema kobietami a naszą grupą urwała się rozmowa. Prawdopodobnie zostaliśmy wzięci za jeńców, którzy skumali się z tym „renegatem” i w ogóle z Niemcami. Przystanek na najbliższej stacji przyniósł nam zasłużoną ulgę. Kobiety wysiadły. Zygmunt patrząc dalej w szyby odetchnął tak głęboko, aż trzasnęła tekturowa ładownica na pasie. Rodzina Zygmunta Siekierskiego znana była w ziemi poznańskiej z wyjątkowego patriotyzmu. Jak zareaguje ojciec naszego „konwojenta” na wieść o sprzeniewierzeniu się syna? Czy wystarczy mu zaufania do nie widzianego od lat? Żaden z nas wówczas nie zazdrościł przeżyć Zygmuntowi.

Byliśmy już w Polsce, wbrew nadrukowi niemieckim, wbrew pasażerom bełkoczącym tuż przy nas w języku, który był symbolem przemocy i gwałtu. W Bydgoszczy część pasażerów wysiadła. Dowiedzieliśmy się, że pociąg jedzie dalej do Torunia. Zostaliśmy w przedziale. Po chwili weszło pięciu młodych ludzi mniej więcej w wieku 18 lat, żywo rozmawiających po niemiecku. Ujrzawszy nasze mundury z miejsca przysiedli się do nas pytając: „Co jest z wami, chłopaki?” Ostrożnie podsuwają nam papierosy i pieniądze, żałują, że nie mają przy sobie żywności. Zygmunt odwrócił głowę, ażeby dać im swobodę działania. Chłopcy dopytywali się, jaki jest ten Niemiec. Odpowiadamy znowu, że porządny chłop. Chłopcy jednak nie wierzą w „dobrych” Niemców. Gwiżdżą pieśni patriotyczne, maskując je taktem tanga lub fokstrota. W pewnej chwili jeden z nich zagwizdał nasz hymn narodowy. Wtedy Zygmunt nie wytrzymał

nerwowo i z miną naiwną pyta po niemiecku: „Co to za piękna melodia?” „Taka sobie pieśń ludowa”. pada odpowiedź. Z krótkiej rozmówki obydwie strony były wyraźnie zadowolone. Od chłopców dowiedzieliśmy się, że z Torunia połączenie na Warszawę będziemy mieli dopiero rano. Wiadomość ta zmartwiła nas, gdyż oznaczała spędzenie nocy w mieście o dużej załodze niemieckiej. Młodzieńcy wysiedli po drodze, dyskretnie się z nami żegnając. Korzystając z tego, że w przedziale prócz nas i ostatniego z chłopców nie ma nikogo, otwarcie zwracam się do niego o pomoc, mówiąc, że uciekliśmy z niewoli. Biedak został zaskoczony tak dalece, że wybałuszywszy oczy na konwojenta „Niemca”... milczał. Nie mogło mu się widać pomieścić w głowie, jak możemy być uciekinierami skoro wiezie nas wachman. Wtedy Siekierski podszedł do chłopca i mówiąc po polsku pokazał mu z jakiej to „stali” zrobiony jest jego karabin. Młodzieniec uległ nagłemu szokowi strachu. Nie mogliśmy już się z nim dogadać. Opuścił nas na najbliższej stacji powtarzając w kółko, że powieszą go to, iż wie o ucieczce. Co prawda wniosek z tego mogliśmy wyciągnąć prosty, że nie zamierza nas zdradzić. Przecież gdyby miał ten zamiar, czekałaby nagroda, a nie kara. Mimo to mieliśmy, jak to mówi, „pietra”. Gdy pociąg ruszył, zaczęliśmy rozpatrywać nowe okoliczności. Postanowiliśmy na razie nie opuszczać przedziału, natomiast w wysiąść i czekać do rana na bocznych torach w jakimś pustym wagonie. Pomimo ostatniego epizodu, który nie potoczył się, jak byśmy chcieli, zdumieni byliśmy patriotyczną postawą Polaków okręgu bydgoskiego. Wszyscy wiedzieliśmy dobrze, jak straszne represje spadły na ludność tych ziem. Okrucieństwo, gwałt i mordy nie zdołały złamać patriotyzmu Polaków. Odważne słowa, gniew i nienawiść, ujawniające się w każdym spojrzeniu i geście, były nas balsamem.

Tak. To była już Polska. To byli Polacy.

W Toruniu na dworcu i w „Urlauberzugu”

Wiedzieliśmy o przebywającym w Toruniu dużym garnizonie gestapo, chcieliśmy więc zaszyć się jak najdalej od ludzi. Plan został wykonany i plan ten zawiódł. Mniej więcej po kwadransie zjawił się już niemiecki kolejarz pytając „konwojenta”, co tutaj robimy. Siekierski odpowiedział, że ponieważ pociąg będziemy mieli dopiero rano, chce tutaj w wagonie z nami przeczekać, bo w pustym pomieszczeniu łatwiej jest mu upilnować jeńców. Kolejarz poradził udać się z nami na stację, gdyż są tam odpowiednie miejsca na przetrzymanie jeńców, a nawet można uzyskać wzmocnienie konwoju. Pobyt na bocznych torach jest niedozwolony. Pozostawało nam tylko odejść i szukać jakiegoś schronienia na samej stacji albo po prostu w mieście. Raz jeszcze przypomnieliśmy sobie, co mamy robić w razie legitymowania nas. Byliśmy zresztą względnie spokojni, pościg za nami mógł pójść w kierunku Poznania i nikomu chyba nie przyszłoby do głowy szukać nas w Toruniu. Liczyliśmy też na to, że koledzy z obozu różnymi sposobami jak najdłużej będą ukrywać naszą ucieczkę i Niemcy być może dotąd o niej nie wiedzą. Liczenie na koleżeństwo i przyjaźń współtowarzyszy niedoli prawie nigdy nie zawodziło. Jak okazało się i tym razem, przewidywania nasze były słuszne.

O ucieczce naszej w obozie wiedzieli nieliczni koledzy, toteż już do apelu porannego przygotowali zamaskowanie jej i ukrycie przed okiem władz naszej nieobecności. Do tej akcji włączono żołnierzy szeregowych, pracujących w kuchni, którzy na apelu zajęli nasze miejsca, oraz sporządzono przemyślnie manekiny na pryczach, robiące wrażenie leżących chorych. Oprócz tego podczas liczenia przez oficera niemieckiego obecnych na apelu w rozwiniętej kolumnie dziesiątkowej luki były „zaskakiwane” przez przesuwających się „policzonych”.

W wyniku tak zorganizowanej akcji pierwszego dnia udało się kolegom ucieczkę ukryć. Drugiego dnia komendant baraku I B zgłosił nieobecność Madeja i Nowosławskiego.

W dniach następnych została wykryta ucieczka Kleczkowskiego, moja i Siekierskiego. Wśród Niemców powstał tumult. Pomimo poszukiwań przez dużą ilość wojska z Abwehrą na czele ani śladu ucieczki, ani sposobu jej dokonania nie wykryto.

Ku uciechu kolegów ani przewracanie sienników, ani opukiwanie centymetr po centymetrze podłóg nie dawały rezultatu. Szukali wachmani, węszyły psy. Wszystko na nic. Ucieszne i zajadłe poszukiwania prowadziły Niemców do wniosków graniczących z krainą magii. Musieliśmy albo wyfrunąć, albo... zapaść się pod ziemię. Niemcy, po bezskutecznych przekopywaniach ogródków, po prostu prosili jeńców, aby zdradzili im sposób ucieczki. Ewentualna szczerłość, która kusiała choćby z tego względu, żeby obserwować efekty w postaci wybałuszonych i rozwartych gęb nie miała sensu. Niemcy nie rozwiązali łamigłówki.

Weszliśmy na peron, a stamtąd do hallu stacyjnego rozglądając się, gdzie by tu zniknąć. Nagle zjawił się naprzeciw niemiecki podoficer z blachą na piersi, jaką nosiła Verkehrspolizei. Zaledwie Zygmunt zdołał mnie zapytać, czy w wojsku niemieckim używa się zwrotu „melduję posłusznie”, a już w pełnym świetle żandarm zatrzymał się przed nami. Ustawiliśmy się w mig. Siekierski podchodzi do żandarma, zatrzymuje się na trzy kroki od niego i wyprostowany we wzorowej żołnierskiej postawie składa meldunek: „Panie wachmistrzu, czterech jeńców do Najwyższego Sądu Warszawy”. My, by nie dać Niemcowi czasu na pytanie o dokumenty, zaczynamy narzekać. Posypały się skargi na „konwojenta”: obchodzi się ostro, nie mamy nic do picia, nie pozwala nam mówić, a my ludzie itd.

Widzowie byli rozbawieni. Siekierski patrzył twardo i z oburzeniem, choć jak przystało na dryl pruski, milczał. A żandarm poważnie przyjmując pretensje spojrział jednocześnie z wyraźnym uznaniem na dziarskiego żołnierza. Potoczyły się dalsze narzekania, żandarm trochę gniewnie nas ofuknął i uciszał – ale któż by pytał o dokumenty tak gorliwego i bezwzględного rodaka. Między widzami znalazł się kolejarz, który spytał nas po polsku: „Co jest z wami i dokąd jedziecie?” Udzieliwszy mu odpowiedzi głosem zboliałym, z kolei ja wyciągałem od niego, czy nie ma na stacji jakiejś dyżurki, w której moglibyśmy się napić kawy. Kolejarz chętnie podjął się zaprowadzić nas do dyżurki i prosił wachmistrza o zezwolenie.

Gra toczyła się jak na scenie teatralnej. Na scenę wstąpił jednak nowy aktor. I to nie byle kto, bo sam rotmistrz, komendant dworca. My już byliśmy w „sosie”. Siekierski, skoro zobaczył zbliżającego się oficera, jeszcze raz przyjął wzorową postawę i złożył tak meldunek jak poprzednio. Rotmistrz był ciekaw, w jakiej sprawie jedziemy do Sądu Najwyższego. Zygmunt bez namysłu odpalił: „To jest tajemnica służbowa, panie rotmistrzu”. Rotmistrz był oczarowany postawą i odpowiedzią. Objął dzielnego żołnierza ramieniem i rzekł konfidencjonalnie: „Tak, mój kochany, najważniejsza rzecz w armii to tajemnica służbowa”. Żandarm wyraźnie zachwycony nasłuchiwał toczącej się przyjaznej pogaduszki herr rotmistrza z Siekierskim, my zaś znowu podjęliśmy swoje role. Z kolei rotmistrz musiał wysłuchać biadoleń ludzi krzywdzonych. Rotmistrz już nawet nie udawał zainteresowania. Słuchał nas z niechęcią, prawie złością. W końcu w czasie jednego z większych łzawych biadoleń odwrócił się do nas plecami.

Kolejarz ponowił prośbę zabrania nas do swojej dyżurki, na co rotmistrz, patrząc na nas jak na powietrze, łaskawie zgodził się. Oficer potwierdził też wiadomość, że pociąg do Warszawy odchodzi dopiero rano. Siekierski stwierdził służbiście a kategorycznie, że rano musimy być w warszawskim sądzie. Gestykulacja „konwojenta”, trochę bezradne wzruszenie ramion i doprawdy tak zakłopotana twarz poruszyły rotmistrza. Zastanowiwszy się przez chwilę powiedział: „Ale czekaj, mój kochany, zaraz, zaraz, przed północą odchodzi na wschód „pociąg urlopowiczów”, który też idzie przez Warszawę. Przyjdźcie na peron, może komendant transportu was zabierze. Zresztą ja sam postaram się tam być”. Zygmunt ciepło

podziękował za pomoc i przyrzekł, że stawi się z nami na czas. Za chwilę kolejarz w swojej dyżurce uraczył nas dzbanem gorącej kawy. Okazywał w ogóle wiele serdeczności, choć rozmawiał z nami ostrożnie ze względu na „Niemca”.

Zbliżała się pora przyjazdu pociągu. Tym razem nie obawialiśmy się spóźnienia, bo pamiętał o tym nasz kolejarz. Rotmistrz i wachmistrz czekali już peronie. Wachmistrz niespodzianie podszedł do mnie i z własnej manierki przelał kawę, ponieważ ja najbardziej narzekam na bezwzględność „konwojenta”. Podporucznik Siekierski, usposabiając dobrze rotmistrza, znowu melduje nasze przybycie na peron. Już wcześniej zorientowaliśmy się, o ile dogodniej byłoby dla nas jechać pociągiem dla urlopowanych: nie grozi nam żadna kontrola policyjna, a co najważniejsze, granice między Reichem a Gubernatorstwem Generalnym przekroczymy również bez zaczepki. Pozostała tylko wątpliwość, czy nie wylegitymują nas z miejsca, zanim pociąg ruszy z Torunia. Wśród takich obaw doczekaliśmy się przyjazdu zapowiedzianego składu. Był to długi transport złożony z wagonów pulmanowskich. Z jednego z nich wysiadł leutnant. Siekierski sprężył się meldując się wyłuszczył prośbę o zabranie nas do Warszawy. Leutnant wyraził zdziwienie, dlaczego konwojent eskortuje sam czterech Polaków. Po podaniu przez Zygmunta zmyślonej wersji, że to są, prawie „Volksdeutsche” i rola konwojenta jest czysto formalna, komunikuje nam, że pociąg jest przepelniony i nie ma w nim wolnych miejsc. Niespeszony Siekierski ponawia prośbę, podkreślając, że rano kategoriycznie musimy być w Sądzie. Nadeszła oczekiwana przez nas interwencja. Rotmistrz, który nadszedł, dorzucił od siebie: „Panie poruczniku, oni muszą być rano w Warszawie, więc proszę zabrać ich i umieścić w pociągu”.

„Jawohl, Herr Rittmeister”. Poszliśmy za leutnantem. Przed jednym z wagonów zatrzymał nas, sam zaś wszedł do wnętrza. Widzieliśmy przez okna, jak usuwał urlopowiczów z przedziału, rozmieszczając ich w przedziałach sąsiednich. Rotmistrz i wachmistrz byli z nami przez cały czas, zwracając uwagę, aby o nas nie zapomniano. Na rozkaz leutnanta ładujemy się do pulmana. Zygmunt raz jeszcze wyraził wdzięczność rotmistrzowi za pomoc. Leutnant patrząc na nas podejrzliwie polecił „konwojentowi” pilnować, byśmy czegoś nie ukradli z przedziału. Siekierski zmrużył oczy: „Jawohl, Herr Leutnant”. Już byliśmy w przedziale. Sami. Na półkach karabiny, pasy z ładownicami, tornistry. Zamknęliśmy drzwi, zasunęliśmy firanki i każdy z nas po tyłu latych z zachwytem brał do ręki prawdziwą broń.

Rosło w nas poczucie bezpieczeństwa: w razie potrzeby możemy podjąć walkę lub w pełnym uzbrojeniu wyskoczyć z pociągu. Analizując nową sytuację szybko doszliśmy jednak do przekonania, że zabranie broni i ucieczka z wagonu zaalarmowałaby Niemców, pozwoliła im ustalić rejon naszego pobytu i tym samym ułatwić pościg. W tej chwili mając cały transport uzbrojonego wojska nie zwracają większej uwagi na czterech jeńców polskich, pilnowanych zresztą przez zdyscyplinowanego konwojenta. Wyjęliśmy nasze zapasy żywności i zabraliśmy się do mocno spóźnionej i jakże zasłużonej kolacji. Siekierski pałaszuje ostatni, żeby nie budzić podejrzeń. Teraz dopiero nastąpiło omawianie ostatnich przeżyć. Zadowoleni z siebie i szczęśliwi z tak pięknego zakończenia denerwujących chwil, przypominając sobie zachwyty Niemców, nasze biadolenie i pruski dryl Zygmunta, co chwila wybuchaliśmy tłumionym śmiechem. Zdecydowaliśmy, że po wojnie założymy własną trupę teatralną. Któż wtedy pomyślałby, że lata późniejsze tak wyszczerbią nasze szeregi i że dziś, gdy piszę te wspomnienia, z całej tej grupy tylko ja jeden zostanę wśród żyjących...

Czujnie spozieraliśmy na korytarz. Zorganizowaliśmy zmianę do kolejnego czuwania. W razie najmniejszego ruchu na korytarzu budzi się naszego „Niemca”, aby nie było podejrzeń, że nas nie pilnuje. Na szczęście w całym wagonie panowała cisza. Szczególną czujność przewidywaliśmy na czas przejazdu granicy. W wypadku kontroli i chęci zatrzymania nas

musieliśmy przewidzieć użycie broni znajdującej się w przedziale i przebicie się siłą. Każdy z nas miał wyznaczoną broń, którą ma w razie potrzeby chwycić. Na razie broni nie ruszamy. Byłem jednak prawie pewny, że transport wojskowy uniknie szczegółowej kontroli granicznej. Tak też się stało. Na granicy pociąg zatrzymał się. Komendant transportu wysiadł i załatwił jakieś formalności. Po pewnym czasie spokojnie ruszamy dalej.

Najgorsze jest już za nami. Od świtu czuwamy wszyscy, obserwując mijane stacje. Jesteśmy już na terenie tzw. GG. Fakt ten nastroił nas optymistycznie: tu o pomoc będzie łatwiej. Rozmyślaliśmy, gdzie wysiąść. Zdania były podzielone, między innymi był też projekt dojazdu do Warszawy lub wyskoczenia z pociągu tuż przed stolicą. Nie precyzowałem jeszcze decyzji, czekałem na dogodny moment, z tym że wykluczałem dojazd do Warszawy. Zdawałem sobie sprawę, jaką byśmy budzili sensację swoim ukazaniem się, co w efekcie doprowadzić by musiało do wylegitymowania nas i - co się już logicznie z tym wiąże - aresztowania. Jako uczestnik obrony Warszawy z 1939 roku znałem okolice, do których zbliżaliśmy się. Wiedziałem, że pociąg nasz jako nadzwyczajny zatrzymuje się tylko na większych stacjach. Wreszcie nastąpiła decyzja: wysiadamy w Sochaczewie. Pociąg zatrzymuje się na stacji. Część żołnierzy niemieckich opuściła wagony, korzystając z pięknej pogody i świeżego powietrza. Dręczą nas znowu wątpliwości i obawy. Czy nie zwróci na nas uwagi komendant transportu?

Spotkanie: godzina 8.00 - Reduta Sowińskiego

Z jak największą ostrożnością wychodzimy z wagonu. Przyjęliśmy szyk. Przeciskając się przez grupę żołnierzy niemieckich w korytarzu i przed wagonem pilnie wypatrywaliśmy, czy nie ma w pobliżu komendanta transportu. W wiosennym polskim słońcu wymijamy żołnierzy niemieckich, obchodzimy stację, kierując się do miasta. Nikt nas nie zatrzymał, nikt się nami nie interesował. Patrzyli na nas w jasny dzień starzy żołnierze frontowi i nawet ci nie zorientowali się w polskiej improwizacji.

Drewniany karabin uznają wszyscy za prawdziwą broń. Broni z wagonu nie braliśmy, licząc się z tym, że po naszym wyjściu sprawdzą zaraz swój bagaż. W mieście, do którego dochodziliśmy, ze względu na bardzo wczesną porę pustki. Pojedyncze osoby cywilne, więc pewnie Polacy. Zatrzymują się na nasz widok, przypatrując się nam ze współczuciem. Po oddaleniu się od stacji podzieliliśmy naszą piątkę na dwie części, aby łatwiej dotrzeć do Warszawy. Obraliśmy różne kierunki: Kazik, Edek i Zygmunt dalej pod konwojem" mają szukać pomocy u miejscowej ludności polskiej od strony zachodniej miasta, my zaś z Jurkiem od strony wschodniej. W mniejszej grupce łatwiej będzie skryć się i znaleźć pomoc; być może, zależnie od sytuacji, będziemy przedzierać się do Warszawy, nawet pojedynczo. Na miejsce spotkania wyznaczaliśmy sobie Warszawę, w dniu następnym, o godzinie 8.00; punkt - kościółek na Woli. Wybierając kościółek wolski pod wezwaniem św. Wawrzyńca na miejsce warszawskiej schadzki kierowałem się zarówno sentymentem, jak rozważą. W 1939 roku bronie Reduty Sowińskiego. Stamtąd po klęsce wrześniowej poszedłem do niewoli. Pragnienie zobaczenia bronionych i zlanych krwią przyjaciół miejsc, wałów fortu i kościółka górującego nad dygoczącą wówczas od ognia ulicą Wolską było nie do odparcia. Poza tym wybór ze wszech miar spełniał warunki ostrożności: z dala od śródmieścia, tuż przy wielkim cmentarzu, który łatwo można było zamienić na teren ucieczki, blisko dobrze znanych mi przejść wiodących w bezpieczniejsze i odludniejsze tereny.

Czas naglił. Staraliśmy się dojść jak najszybciej do jakiegoś upatrzonego domku. Po drodze minęła nas kobieta zaskoczona widokiem naszych mundurów. Wybraliśmy samotny domek, przed którym młoda niewiasta karmiła psa. Wzbudzała zaufanie. Zwróciłem się z prośbą o gorącą kawę. „Jesteśmy na robotach i chcielibyśmy chwilę odpocząć.” Przez moment

przyglądała się nam z ciekawością. „Jeszcze ogień nie rozpalony, ale proszę wejść, to coś się zrobi.” W niskiej małej izbie na łóżku leżał młody mężczyzna. Po krótkim powitaniu: „A panowie co tutaj robią”? „Jesteśmy na robotach”, gospodarz uniósł się na łóżku, spojrzał na nas i niespodzianie rzucił: „Panowie są oficerami”. Odpowiedziałem, że nie. Na to gospodarz: „Bo, proszę panów, ja jestem podoficerem”. Przez moment zapanowało pełne napięcia milczenie. Odpowiedź zaskoczyła interlokutora: „Zgadł pan, jesteśmy oficerami, uciekliśmy z niewoli”. Wyciągnęliśmy swoje legitymacje oficerskie i jenieckie znaczki tożsamości. Gospodarz błyskawicznie wyfrunął spod pierzyny: „Matka! Dawaj cywilne ubrania”. To, co się działo później trudno opisać. Na przemian ubieraliśmy się i całowali z gospodarzem, a jego dwaj synowie patrzyli na nas jak w tęczę. W ciągu kilku minut byliśmy przebrani. Gospodarskie oko, które zdołało na pierwszy rzut odkryć nasze stopnie oficerskie, miało „nieliche” doświadczenie. My znów mogliśmy gratulować sobie wyboru „upatrzonemu” domku i opiekuna. Synowie z naszymi mundurami pofrunęli na wieś i w tempie dla nas niepojętym mieliśmy już piękne, opatrzone pieczęciami i podpisami dokumenty. Wiedzieliśmy o konspiracji, ale że organizowanie pomocy tak może wyglądać nikt z nas sobie nie wyobrażał. Byliśmy już legalnymi obywatelami GG. Po załatwieniu wszystkiego gospodarz stawiając litr wódki na stół powiedział: „No, a teraz możemy już się napić. Opowiecie, jak uciekliście”. W tym czasie synowie „patrowali” okolicę domu.

Czuliśmy się jak w raju, mówiąc o kolejach ucieczki i mając przed sobą życzliwe, serdeczne twarze rodaków. Gospodarz rysował przed nami walkę kraju z okupantem. Nie spóźnił się. Jesteśmy potrzebni. Jakie szczęście, że opuściliśmy oderwany prawie od walki teren obozu. Po zakończeniu opowiadania gospodarz uścisnął nam dłonie, gratulując brawurowego wyczynu. Na naszą prośbę udał się do miasta, aby zebrać wiadomości o pozostałych trzech kolegach. Na odchodnym zalecił nam zastężony odpoczynek. Spaliliśmy jak susły. Szczęśliwy byłem zdając troskę i odpowiedzialność za nas sympatycznemu rodakowi. Domownicy czuwali nad spokojem naszego snu. Okazało się, że dotychczas brak wiadomości o naszych kolegach. Pocieszaliśmy się, że na pewno tak jak i my znaleźli pomoc. Gospodarz znalazł doskonale miejscowe warunki, toteż z zaufaniem stosowaliśmy się do wszystkich jego rad. Według jego planu wyjechaliśmy w nocy do Warszawy, żeby wczesnym rankiem być na miejscu. Mieliśmy ubrania i pieniądze. Czuwając nad nami do końca gospodarz wybiera się w drogę razem z nami. Pomoc jego i tu okazała się nieoceniona. Bilety kupił poza kolejką i dyskretnie otoczył nas swoimi znajomymi. W tym czasie bahnschutz robił obławę na szmuglerów, swoim zwyczajem kopiąc i bijąc nawet kobiety. Nie przywykliśmy do takich scen. Poderwało nas z miejsca, chcieliśmy interweniować, na szczęście gospodarz nas powstrzymał. Później zrozumieliśmy, jak i kiedy można było szukać na wrogu sprawiedliwości i odwetu. Zbliżała się pora odjazdu. Wsiedliśmy do pociągu. Szalony tłok. Nie znaliśmy jeszcze warunków okupacyjnych w kraju. W opowiadaniach, w przemycanych listami relacjach natykaliśmy się na wzmianki o trudnościach transportu i komunikacji, ale co innego było słyszeć, a co innego znaleźć się nagle w jakimś nieprawdopodobnym maglu.

We Włochach, widząc tarposzącą się w drzwiach starszą kobietę, z nawyku wyskoczyłem z przejścia, pomagając jej wyrwać się z płątaniny i gąszczu tułowiów, łokci i kolan. Grzeczność moja stała się w skutkach dla mnie fatalna. Ani prośby, perswazje, ani wreszcie stosowanie nowo powstałej metody: szarpania, łapania, wklinowywania - nie pomagały. Przed nosem trwał mocny i niewzruszony mur głuchych ludzkich ciał. Nie było miejsca nawet na jedną stopę. Zacząłem biec za rozpędzającym się pociągiem. Na próżno. Pozostałem we Włochach. Nie chciałem tkwić na niedużej i prawie pustej stacji. Zdecydowałem się na pieszą wędrówkę do Warszawy Zachodniej. Obiegnęłem perony poszukując Jurka, Jurka nie było. Gdy

przypomniałem sobie stłoczoną ciżbę w pociągu, zrozumiałem, że równym nieprawdopodobieństwem było w tych warunkach wsiadanie, jak wyrwanie się z wagonu na perony. Z Jurkiem spotkamy się dopiero następnego dnia. Zerkając za sylwetką kolegi natknąłem się na znajomą twarz. Był to jeden z żołnierzy z 1939 roku. Obszedłem go i zniknąłem mu z oczu, nie chcąc sprowokować jakiejś niebezpiecznej sceny. Na stacji przesiedziałem do zakończenia godziny policyjnej i stąd przy pięknej pogodzie udałem się w Aleje Niepodległości, gdzie mieszkała rodzina mego dowódcy pułku. Uzyskałem tam pełną możliwą pomoc.

Jak wyglądały przygody pozostałej trójki? Po rozstaniu się z nami (Zygmunt nadal w mundurze niemieckim) podeszli do jakiegoś domku stojącego w polu, prosząc o wodę. Gospodarz przyjrzał im się, a widząc polskie mundury, zawołał żonę i powiada: „To nasi żołnierze, dajcie im kawy”. Poprosił ich zaraz do izby i dalejże się rozpytywać. Zygmunt nerwowo nie wytrzymał, rozchylił płaszcz i pokazał mundur polski. Przyznali się, że są zbiegami z obozu. Chłop ze wzruszenia aż wyczałował Zygmunta. Radował się, jak by witał swoich synów i braci. Tak też dzięki pomocy Polaków z Sochaczewa cała piątka oficerów znalazła się szczęśliwie na wolności w Warszawie.

Czyż trzeba opisywać radość i nie ujawnianą dumę naszej małej grupki uciekinierów w chwili spotkania się na Woli? Byłem głęboko wzruszony znalezieniem się po dwóch i pół latach na miejscu ostatnich moich walk wrześniowych. Oddychaliśmy warszawskim powietrzem, wolnością. Zasłużony miesiącami przygotowań planu i jego realizacją odpoczynek już po kilku godzinach wlał w nasze zmęczone i osłabione ciała nowe nieprzeczuwalne siły.

Byliśmy już w ojczyźnie. Teraz należało, wyzyskując posiadane skierowania i drogi kontaktów, wstąpić do służby. Armia podziemna zyskiwała w nas nowych ochotników. Ambicją naszą było wyrównać czas strwoniony między drutami, pomścić zasłyszane krzywdy i okrucieństwa. Nie było czasu na odpoczynek. Szkoda było każdego dnia. Przeczuwaliśmy, że służba konspiracyjna przyniesie nam emocje nierównie mocniejsze niż tak nawet udana ucieczka. Ustaliliśmy sposoby kontaktowania się.

Dalsze losy to walka podziemna z okupantem

*Tekst pochodzi z serii Wydawnictw MON „Tygrys”, wydanie W-wa 1959.
Opr. Andrzej Pazda, Piotr Wyrzykowski. Foto. L.Rytwiński*

***) Ppłk. Zdzisław Kuźmirski-Pacak (1911-1981)**



W latach 1931–1933 był podchorążym Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi-Komorowie. 5 sierpnia 1933 Prezydent RP Ignacy Mościcki mianował go podporucznikiem w korpusie oficerów piechoty, a minister spraw wojskowych wcielił do 40 pułku piechoty „Dzieci Lwowskich” we Lwowie. Na stopień porucznika został mianowany z 1 stycznia 1936.

W kampanii wrześniowej 1939 uczestniczył w obronie Warszawy, jako dowódca 8. kompanii 40 pp. Bohatersko bronił historycznej reduty 56 przy ul. Wolskiej przed oddziałami niemieckiej 4 Dywizji Pancerniej. Po kapitulacji załogi stolicy dostał się do niemieckiej niewoli. Przebywał w Oflagu II C Woldenberg. W nocy z 19 na 20 marca 1942 w brawurowy sposób uciekł z obozu z czterema towarzyszami niewoli: por. Jerzym Kleczkowskim por. Edwardem Madejem, por. Kazimierzem Nowostawskim i ppor. Zygmuntem Siekierskim. Jeńców wyprowadził wówczas z obozu kpt. Pacak-Kuźmirski wraz z pełniącym rolę „konwojenta” ppor. Zygmuntem Siekierskim, który został w tym celu przebrany w mundur wartownika oraz uzbrojony w drewnianą imitację karabinu typu Mauser.

W okupowanym Kraju po udanej ucieczce z obozu został zastępcą dowódcy i szefa operacyjnego Komendy Głównej AK „Osa-Kosa” (Organizacja Specjalnych Akcji Bojowych) w stopniu porucznika piechoty. W latach 1943–1944 dowódca Partyzanckiej Dywizji Karpackiej obszaru lwowskiego AK. W latach 1948–1956 więziony przez władze PRL we Wronkach i Rawiczu.

Zmarł 27 stycznia 1981 w Krakowie. Został pochowany na Cmentarzu wojskowym przy ul. Prandoty w Krakowie.

W kwietniu 2005 skwerowi znajdującemu się w rejonie ulic Wolskiej i Kasprzaka na warszawskiej Woli nadano nazwę płk. Zdzisława Kuźmirskiego-Pacaka.